

Katarzyna A. Urbanowicz

CÓRKA DWUGĘBNEJ

© Katarzyna A. Urbanowicz
www.fantastykapolska.pl

redakcja techniczna
www.rw2010.pl

Kiedy gdzieś w zaświatach bogini Munu wyciągała po jednym kłosie ze snopka zżętego diamentowym sierpem boga Torbasa i rzucała je za siebie z zamkniętymi oczami, niewątpliwie mój kłos zawierał parzystą ilość ziarenek bi, a ich bladoliliowy kolor musiał wskazywać, że los mi przeznaczony wiąże mnie nierozzerwalnie z ludzkimi uczuciami. Być może jednak do mojego źdźbła przylgnęła łuska tropi i trzyma go do dziś we włochatych kleszczach; nie zostałam więc wróżką, tylko żebraczką. Nie narzekam jednak na swój los. Czasy są dziś okrutne, a najbardziej dla wrózek, rusałek, nocnic i południc, zmór i leśnych boginek, nazywanych obelżywym mianem czarownic. Tępi się je jak robactwo, bezmyślnie i głupio zaspokajając żądzę okrucieństwa. Wszędzie grasują poskromiciele, prymitywne osiłki, którzy nie potrafią dostrzec różnic między wróżką a południcą, nie mówiąc już o zrozumieniu, na czym polega ich moc; szczeniaki dumne ze swoich rzekomych sukcesów. Nie, nie żałuję, że zostałam żebraczką, nie odebrało mi to mojej władzy nad ludzkimi uczuciami, a pozwala patrzeć na to wszystko, co się dzieje, z daleka, bez emocji. A to, co widać dookoła, gdyby nie było tak smutne, zdolne byłoby rozbawić największego ponuraka. Żaden z tych tropicieli nie umie odróżnić prawdziwej czarownicy od młodej i pięknej dziewczyny, pociągającej jędrnym ciałem i żywym, byстрым umysłem niedomytych wyrostków, którzy porzucili pasanie zwierzokotów dla pełnego wrażeń zawodu łowcy czarownic. Nie wiedzą, biedacy, że prawdziwa czarownica nie jest młoda i piękna, że nie przyjdzie jej nigdy do głowy wdawać się w nierówną walkę; o swoim przeciwniku wie ona wszystko, a on o niej – nic.

Piękną dziewczynę może takie zmaganie skusić, zwłaszcza jeśli drab jest przystojny i dobrze zbudowany; biedaczka nie przyzna się nikomu, że może ma dopiero zadatki na którąś z tych istot mających władzę, ale na pewno nie jest jeszcze czarownicą, ten jednak, który walczy z przekonaniem, że zwycięża czarownicę, nie używa prymitywnych metod, nie stosuje bata ani tortur, stara się zwyciężyć własną siłą nie wspomaganą narzędziem, ponieważ panuje przekonanie, że narzędzia te czarownica łatwo może zniszczyć. Nic więc dziwnego, że dziewczyna nie pragnie wyprowadzić łowcy z błędu, gdyby bowiem podejrzewał, że ma do czynienia z normalną istotą, traktowałby ją tak samo, jak wszystkie inne zwierzokobiety i człekokobiety. Pięknych dziewcząt jest mnóstwo, ale piękna czarownica, cóż to za skojarzenie!

Umiejętność pojawia się, gdy piękno ustępuje, skóra marszczy się, zęby wypadają. Wówczas kobieta o zdolnościach, na które kiedyś nie zwracała uwagi lub wykorzystywała je sporadycznie w drobiazgach, szuka w nich teraz ratunku, pomocy w smutku, który ją ogarnia, gdy myśli o starości, o życiu, które nie przyniosło nic poza bolesnymi razami i poczuciem, że nic się nie znaczy i niczego nie można w swym życiu odmienić. Można wtedy odkryć cały ogromny świat, dostępny teraz tuż obok, choć niegdyś nie zauważany.

Niewiele jednak kobiet dożywa tego pięknego wieku. Ze strachu przed władczyniami ludzkich losów ścigają je i tępią najbliżsi krewni, znajomi, sąsiedzi, nie mówiąc już o zawodowych łowcach. Dlatego też wybrałam los żebraczki. Umieję wiele rzeczy, ale strzegę się to okazywać, pragnę przeżyć i doczekać tych czasów, kiedy okrucieństwo nie będzie już panować. Nie jest to łatwe, sam mój wiek budzi podejrzenie, bo trzeba chyba czarów, żeby dożyć czterdziestki, więc czasem tylko zachodzę do ludzi, gdy rodzi się dziecko, staję nad jego kołyską i próbuję przekazać mu to wszystko, czym chcę go obdarzyć. Te dzieci kiedyś dorosną, one już nie będą tępiły czarownic i będą miały władzę tego zakazać, bowiem to, co rozdzielam, jest predyspozycją do rządzenia innymi; pięknem, bogactwem i wszystkimi możliwymi darami losu, a nieodmiennie umieszczam wewnątrz tych darów, jak w owocu natura umieszcza pestkę, szacunek dla tych, co są odmienni od innych.

Mój ojciec był hodowcą zwierzokotów. Z ogonów tych stworzeń wyrabiano wówczas eliksir przydatny dla mężczyzn, nic więc dziwnego, że powodziło mu się dobrze. Ożenił się późno. Zwierzokoty nie znoszą w obejściu kobiet, kąsają je, kiedy mogą, denerwują się i złością, gorzej się wtedy chowają i mniej rosną; ojciec więc pragnął dorobić się najpierw majątku, który pozwoli mu na zakup kawałka lasu i postawienie własnej chaty, a dopiero później wziąć sobie kobietę. Ciągłe jednak zdawało mu się, że ma jeszcze zbyt mało i z żeniaczką należy poczekać, aż gdy wreszcie zdecydował się; niewiele było kobiet, których rodzice chcieliby mu je sprzedać. Woleli wynajmować córki na jakiś czas i ciągnąć z tego niezły dochód, a niewiele kobiet dożywało tego

wieku, w którym był mój ojciec, gdy kobieta, przynosząc więcej strat niż zysków, chętnie jest już odstępowana na stałe za nędzny grosz.

Ojciec mój miał jednak szczęście. Nieopodal mieszkała z dwunastoletnią córką wdowa po pałacowym kucharzu, dziewczyną jeszcze niedojrzałą do małżeństwa, ale już dość ponętą. Trudno dociec, kto pierwszy to spostrzegł, ale spostrzeżono dość wcześnie, że kobieta zaczyna się przeobrażać w czarownicę. Stała się drażliwa, bez umiaru biła córkę, co na ogół matkom się nie zdarza, na twarzy robiła się często na przemian czerwona i biała, a co najważniejsze, jak spostrzegły sąsiadki, które zawsze wiedzą, co u kogo się suszy na płocie, już nie krwawiła. Córka często śmiała się, gdy matka strofowała ją i tłukła kijem, tylko więc patrzeć, gdy zła i wściekła użyje swoich czarów. Obserwowano ją bezustannie, istniała przecież możliwość, że czary te obróci nie przeciwko córce, ale przeciw komuś, kto w tym czasie pojawi się przed nią nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Na wszelki wypadek umówiono już poskromiciela czarownic, przykazano mu, żeby czekał w pogotowiu, ale kobieta jakoś nie mogła do końca przeobrazić się.

Tropiciel był młodym byczkiem, pożerał niesłychane ilości jadła i napojów, co dzień żądał dziewczki, a co gorsza, nie zgadzał się, aby przychodziły doń kolejno córki z różnych rodzin, jak się należało po sprawiedliwości, tylko uparł się na jedną, co powodowało, że jej ojciec tracił cały zarobek. Utrzymywanie dłużej tego zucha było zbyt kosztowne i niewiele już brakowało do niesnasek w zgodnej do tej pory wsi. Zdecydowano się więc przekonać łowcę, że przeobrażenie już nastąpiło. Mieszkańcy wsi zresztą uważali, że wcześniej czy później to i tak się musi stać, dopomogą więc tylko losowi.

Pewnego dnia kilku mężczyzn zaczęło się wczesnym rankiem pod drzwiami sąsiadki i kiedy tylko otworzyła je, by wyjść na podwórko, tłumiąc krzyk kobiety, wepchnęli do izby i związawszy ręce i nogi, ściągnęli z niej ubranie. Następnie omotali ją w pasie grubym sznurem przywiązując doń trzy zwierzokoty w specjalnie uplecionych, mocnych siateczkach. Następnie ubrali ją w liczne spódnice, pospinane miejscami tak, aby pozbycie się odzieży i zwierzokotów było znacznie utrudnione. Pozostawało jeszcze tylko ukłuciami podrażnić i tak już rozwścieczone zwierzęta, rozwiązać kobietę i wypuścić ją na drogę. Jednocześnie dziewczyna, z którą spędzał noc poskromiciel, miała dopilnować, aby o właściwej porze nie spał, kiedy więc wdowa wybiegła na drogę i straszliwie wrzeszcząc i szarpiąc na sobie ubranie tarzała się w błocie, łowca stał już w pełni gotowy. Obserwował ją przez dłuższą chwilę, a kiedy przyszedł czas nakazał władczo:

– Przytrzymajcie ją.

Ludzie tylko na to czekali. Uwolnili zwierzokoty przecinając siatki, a te przysły w bok, w zarośla. Ocucili wdowę nurzając jej twarz w pobliskiej kałuży, posadzili podpierając piętami przyturlanym ze sterty. Teraz łowca mógł dokonać swego dzieła i po chwili na oczach całej wsi dopełnił się ceremoniał, który odbierał czarownicy całą moc i powodował, że przestawała być groźna. Pozostawało tylko pozbawić ją życia, aby czarodziejstwo w niej nie odnowiło się, ale z tym poskromiciel nie musiał się spieszyć i tak bezsilna już powłoka czarownicy nie mogła mu się przeciwstawić. Ten łowca jednak, nie wiadomo czemu, nie chciał zabić od razu kobiety, może szykował dla niej specjalnie wymyślne męczarnie, ona wiedziała jednak, że stanie się wcześniej czy później. Posłusznie więc, nie próbując oczyścić się z oblepiającego ją błota i krwi dała się związać. Nazajutrz, nadal związana, pod jego strażą, przyprowadziła do mojego ojca swoją córkę i poprosiła:

– Weź ją, panie, do swojego domu. Ładna z niej dziewczyna i szkoda, żeby została sama. Jest bardzo wytrzymała i wiele razy zniesie.

Łowca mieszkał w chatce wdowy ze dwa tygodnie, potem którejs nocy odszedł. Co się stało z wdową, nie wiadomo; mógł ją zabrać ze sobą lub zabić, w każdym razie, jeśli to zrobił, to był porządnym człowiekiem, bo pogrzebał ją i ciała nigdzie w pobliżu nie znaleziono.

Ojciec wypróbował natychmiast dziewczynę i musiał przyznać, że wdowa go nie oszukała. Młódka była odporna, zaprawiona do batów, choć tak szczupła, że zdawało mu się na początku, iż nawet lekkie uderzenie pięścią pozbawi ją życia. Wkrótce jednak przekonał się o jej zaletach, a cóż to za przyjemność była stopniować siłę rąk i wypróbowywać wytrzymałość tego delikatnego ciała! Przyjemność ta niebawem jednak się skończyła, gdy dziewczyna stała się brzemienna. Nie godziło się już jej bić, tym bardziej że gdyby urodził się syn, ojciec miałby z niego pożytek w gospodarce, a

i dziewczyna też była nie do pogardzenia, mogła przysporzyć niezłych dochodów, jeżeli była ładna i właściwie wychowana, a także wytrzymała.

Tak więc ojciec musiał otoczyć żonę opieką należną ciężarnej, przynajmniej dotąd, aż dzieciak dorośnie na tyle, że będzie już można na nim próbować siły bez szkody dla jego wartości. Trzeba było więc znaleźć inny sposób, aby się zabawić nie narażając na dodatkowe koszty i ojciec znalazł go szybko. Do słupa przed domem na jednym łańcuchu, z krótkimi tylko odgałęzieniami, przywiązał parę zwierzokotów i dziewczynę. Początkowo trzymali się od siebie z daleka, tylko samiec zwierzokota czyścił swoje zęby na kamieniach, spoglądając groźnie na dziewczynę. W porze południowej wystawiono im wspólną miskę z jadłem. Przez kilka dni dziewczyna powstrzymywała się od jedzenia, później jednak, zgłodniała, sięgała do jednej miski ze zwierzętami. Pewnego dnia była tak niezręczna, że zwierzokot rozorał zębami jej twarz, pazurami wylupując oko i dziurawiąc policzek tak, że widać było boczne zęby. W ten sposób matka moja zdobyła przydomek Dwugębnej.

Wkrótce jednak i ta zabawa ojcu się znudziła. Dziewczyna stała się ociążała, nie próbowała więcej walczyć o jadro ze zwierzokotami, jej hardość, pociągająca z początku, była mu nad wyraz przykra. Czekał więc tylko rozwiązania, żeby się jej pozbyć. Sprowadził sobie już nową człękobietę, znacznie tłustszą i wszędzie dookoła chwalił ją, że baty na jej ciele plaskają o wiele głośniej, a sińce wyglądają o wiele przyjemniej; zakupił też dwie zwierzokobiety, a mojej matce dał spokój. Chodziła gdzie chciała i robiła, co chciała i wydawała się po raz pierwszy w pełni szczęśliwa. Kiedy po paru latach pozwoliła mi obejrzeć swoje wspomnienia, zrozumiałam dlaczego przeznaczyła mi los żebraczki, odrażającej ale szczęśliwej, bo całkowicie wolnej.

Urodziłam się któregoś gorącego lata na bagnistej łące, gdzie miękko uginające się, porośnięte delikatną darnią błoto było moją pierwszą kołyską. Po okrytej śluzem skórze pełzały małe, błotne chrząszcze, oblepiły mnie wkrótce puszyste drobinki bewity; tak witało mnie bagno i ja, która wiele razy oglądałam ten obraz w myślach mojej matki, do końca życia za to powitanie pozostanę mu wierna. Matce mojej pomagała przypadkiem spotkana samica ludziokotów. Pielęgnowała nas obie jakiś czas w swoim szalasy, liżąc rany matki i zanosząc najlepsze przysmaki, jakie mogła zdobyć, w zamian tylko pospołu ze mną ssąc pierś mojej matki.

Matka nie wróciła już do ojca. Ukrywała się w lasach i bagnach, chowała w jamach i wykrotach, uciekała na widok ludzi i zwierzokotów i nigdy więcej nie weszła w progi ludzkiego domu.

Dlatego też ja nie zasnęłam w swoim życiu razów i jestem pewna, że człowiek może pozostać człowiekiem, że nie zdegeneruje się i nie straci zdolności do rozmnażania się ani instynktu życia bez batów. Jest może trochę inny, ale na pewno nie przestaje być człowiekiem i nie zmienia się w jakiegoś raroga.

Prowadziłyśmy życie żebraczek. Matka była szpetna jak noc, blizna na policzku porastała żywym mięsem. a jedyne, pozostałe oko, nie wiadomo czemu patrzyło zawsze w bok. Kochałam ją jednak i szanowałam, podziwiałam także bez zastrzeżeń. Teraz sędzę, że może ta jej szpetota spowodowała, że bardzo wcześnie odkryła w sobie zdolności, które odkrywają zazwyczaj kobiety dopiero u schyłku swych lat. Nigdy jednak nie uległa im, nie próbowała ich wykorzystać w określonym celu i mnie przestrzegła przed tym. Czasem tylko na odludziu ćwiczyła je i ja byłam jedynym świadkiem jej umiejętności i tylko mnie jednej pozwalała zagląda do wnętrza swojej głowy. Kiedy pytałam, czemu ukrywa się ze swoją wiedzą, twierdziła, że za wiele w niej nienawiści do ludzi, aby wolno jej było zerwać z uwięzi to, co w niej siedzi, niemniej zdolnościom tym nie wolno dać zginąć, bowiem kiedyś mogą uratować życie. Matka tłumaczyła mi: musisz znaleźć najpierw cel, dla którego postanowisz żyć, a potem wyrzec się tego celu całkowicie i ostatecznie, wtedy dopiero możesz ćwiczyć zdolności i wtedy, cokolwiek one przyniosą, będzie to pożytkiem, a nie szkodą dla innych. Ja ten cel mam, a nie jest to cel godny sięgania po wszystkie rezerwy duszy, mimo to nie umiem się go wyrzec i tylko z dala ode mnie ludzie są bezpieczni. Jakże głupia byłam, gdy myślałam, że to ona ukrywa się przed ludźmi!

Umarła przypadkiem. Któregoś dnia w naszych wędrownkach zapędziłyśmy się na pomarańczowe bagno. Noga mojej matki uwięzła między dwoma spróchniałymi gałęziami, straciła

równowagę i wpadła w znajdujący się obok lej. Bagno zaczęło ją wciągać. Podawałam jej gałęzie, krzyczałam na głos wzywając pomocy, ale bez skutku. Kiedy jej głowa skryła się już pod wodą, w pobliżu pojawiła się zwierzokobieta. Wlaza w błoto i wyciągnęła matkę chlapiąc błoniastymi łapami, potem zaś długo doprowadzała ją do życia sobie tylko znanymi sposobami, aż matka odzyskała oddech i zdolność ruchów. Nie wstała jednak więcej z posłania. Umysł jej był zmacony, była jak niemowlę, które nie umie nic zrobić koło siebie i niczego nie pojmuje. Umarła w takiej samej nieświadomości, w jakiej żyła przez parę miesięcy i nawet jej wspomnienia, do których pragnęłam trafić, niedostępne były moim oczom przez chaos jej umysłu. Kiedy wychodziłam do wnętrza jej głowy, czułam wokół drżącą wodę, muł wdzierający się do płuc, szarpiący ból zadany zębami zwierzokota, a także coś, co tkwiło głęboko, równie silne jak ten ból, ale co mogło przerodzić się w dominujące pragnienie radości, choć było samym cierpieniem, a co, jak domyślałam się raczej, niż wiedziałam, wiązało się z osobą mojego ojca. Biada mi, że próbowałam wejść do bezbronnych wspomnień mojej matki i że dopuściłam do siebie ten jej dziwny ból, aby kiedyś mój własny mógł ukształtować się na jego obraz i podobieństwo!

Zaprzyjaźniłam się ze zwierzokobietą. Żyła na bagnach już od wielu lat, była stara i bardzo mądra, знаła nawet ludzką mowę, choć słowa wymawiała tak dziwacznie, że trzeba się było przyzwyczaić, aby je zrozumieć. Kiedy dziwiłam się, że potrafi mówić, bo zawsze dookoła słyszałam, że zwierzokobiety głównie różnią się od kobiet i człecokobiet brakiem mowy, powiedziała mi, że zakłada do gardła specjalnie wydrażone rurczki i że jest to dość trudne, zwłaszcza dla nieprzyzwyczajonych, ale nie niemożliwe. Nie powinno się tylko zbyt często stosować tego zabiegu, gardło ulega podrażnieniu, trudno potem jeść i pić, ale jeśli chce się porozumieć z ludźmi, trzeba znać ich mowę. Trochę z sympatii do niej, trochę zaś z ambicji zaczęłam i ja uczyć się jej sposobu mowy bez słów, za pomocą dotknięć, gestów i pisków. Nie było to jednak tak łatwe, jak z pozoru się wydawało. Nie potrzebowałam wprawdzie żadnych przedmiotów do pomocy, ale i nie było takich, na których mogłabym się wesprzeć. Ta sama wysokość tonu dla zwierzokobiety miała co najmniej kilkanaście znaczeń; ten sam gest, o milimetry przesunięta dłoń – już zmieniała sens wypowiedzi. Zwierzokobiety mówiły całym ciałem, a moja nauczycielka twierdziła, że i tak ludzie nie mogliby z nią się porozumieć, gdyby nie to, że znakomicie rozpoznaje wiele słów po samym zachowaniu człowieka, zapachu jego ciała, kolorze skóry, szybkości uderzeń serca i tłumaczy sobie w ten sposób wszystkie niejasności wypowiedzi. W ostateczności więc to i tak ona odczytywała, co chciała z moich nieudolnych prób wypowiedzi, nie mogłam więc pojąć, dlaczego uważa się je za stworzenia głupsze od ludzi.

W długie wieczory, kiedy siedziałyśmy w szałasie nawlekając na nitki liście terki do suszenia, z których sprzedaży żyła zwierzokobieta, starała się nauczyć mnie przynajmniej części tego, co umiała sama, a co mogło być dostępne ludziom. Myślę, że one dwie, moja matka i zwierzokobieta, tak obce swojemu otoczeniu i przezeń odtrącane, nauczyły mnie najważniejszego: że tego, co istotne, trzeba szukać w odmienności, a nie w podobieństwach.

Tymczasem na świecie nie było spokoju. Król, mający wielu wrogów, odziedziczonych po swych przodkach – zdobywcach, dość nieopatrzny postępowaniem powiększał stale ich grono. Styl życia jakim się odznaczał, bogactwa, które wystawiał na widok publiczny, drażniły ludzi w kraju, a wzmagały żądze sąsiadów. Kraj ubożał i wyludniał się, zarastały trzcina kanały odwadniające bagna, upadały kwitnące niegdyś gospodarstwa; wrogowie zacierali ręce mając nadzieję, że w razie wojny nie będzie można utrzymać armii z braku zaprowiantowania, bowiem nawet zwierzokobiety z głodu wchłaniały swoje cięższe, a mięso zwierzokotów nie było wartościowe i żołnierze niechętnie je jadali. Wrogowie króla, ci wewnętrzni i zewnętrzni, nie przebierali w środkach, aby go obalić. Na razie czynili to skrycie, wykorzystując znanych awanturników i ich miejscową popularność. Największym z nich był rycerz Toberin Owłosiona Pała, nazwany tak z racji kaprysu natury, którym się szczycił, jak niektórzy twierdzili, niezasłużenie. On i jego zausznicy potrafili umieścić w pałacu kobietę, daleką kuzynkę rycerza, która sobie tylko wiadomym sposobem potrafiła uśpić córkę króla na wiele lat. Tak wielki był dar przekonywania tej kobiety, że uwierzono jej, iż stało się to za pomocą zatrutego wrzeciona, które jakoby podrzuciła jakaś czarownica. Ją samą ominęły podejrzenia, była piastunką młodej królowny od wielu lat, a któż by

przypuścił, że już wtedy, gdy królowa była ciężarna, zapadła decyzja o podsunięciu jej za towarzyszkę kuzynki Toberina i że nakazano jej służyć wiernie królewskiej parze i jej dziecku, aż do tej chwili, w której wyżej od niej postawieni zdecydują, co ma uczynić. Mówią, że za usługę swoją nie żądała niczego, krom łaskawego wejrzenia rycerza Toberina, bowiem żywiła doń namiętne uczucie, tak silne, że nie żądające nic dla zaspokojenia własnej próżności.

Tak więc królowa żyła, ale spała. Ojciec jej nie mógł już opuścić pałacu, nie sposób byłoby wędrować z uśpioną dziewczyną, której życie trzeba było podtrzymywać używając całego systemu rurczek, miechów i dziesiątków służby. Wrogowie króla poczynali sobie coraz śmieiej, trębacz często dawał sygnał do wymarszu, ale coraz mniej wojów wracało: jedni ginęli, inni opuszczali króla a jeszcze inni przechodzili na stronę przeciwników skuszeni sakiewką.

Toberin pozornie nie wykorzystał sytuacji, nie próbował zdobyć siedziby króla szturmem, czekał aż rozpierzchnie się reszta dworu i król zostanie zupełnie sam, zdany na jego łaskę i niełaskę pozbawiony nawet żony, której pewnego dnia wpełchnął do otwartych ust żarzącą się główkę, od czego niespodziewanie zajęły się jej zwiewne szaty i która wskutek tego po kilku dniach zmarła. Dopiero wtedy Toberin wkroczył na zamek, otoczony swą stronnictwem, którym polecono ukryć broń pod obszernymi płaszczami i bukietami świeżo zerwanych ziół, albowiem miano nimi witać królową dawno nie widzianą przez lud, ponoć od tyłu miesiący ukrywaną przez nazbyt chytrego ojca, z zawiści i niedorzecznych aspiracji nie wynajmującego córki, jak powinien, możliwym tego królestwa, dla utrwalenia zawartych porozumień. Kilka kobiet, kryjących się ze strachu po spiżarniach i piwnicach przed chwataami Toberina, mag Zentija opiekujący się królową nie mogli stanowić dla nich żadnej przeszkody. Tak więc Toberin uściskał króla, ucałował oba jego łokcie, pozdrowił magicznym gestem ubożęta tego domu, składając w piątym kącie, między piecem a ścianą, wiązkę pachnących ziół, po czym głośno uzalił się nad ciężkim losem i nie wykorzystaną pięknnością księżniczki, po czym nie bacząc na sprzeciwy kobiet i maga, odkrył wieko kryształowej trumny, w której spoczywała księżniczka i całując ją, wpuścił do ust eliksir przywracający świadomość i życie.

Skąd to wszystko wiedziałam? Moja opiekunka знаła żonę człowieka, który prawie do ostatnich dni był przy królu, a gdy ten zmarł, zanadto troskliwie w chorobie pielęgnowany przez Toberina, schowany w podziemiach przeczekał szesnaście nocy zanim udało mu się wydostać tajnym przejściem na porośnięte krzakami wzgórze. Zdażył opowiedzieć wszystko żonie, która z kolei powierzyła to zwierzkobiecie, zanim zginęła w czasie polowania w środku zimowego okresu głodu, gdy człekobiece mięso stało się prawdziwym przysmakiem.

Oficjalnie twierdzono, że podobno król Toberin i jego piękna żona żyli szczęśliwie, choć młodzianka królowa nie nawykła do obyczajów, jakie przysły ostatnio z południa wraz z Toberinem i jego drużyną. Oburzała się na codzienną chłostę, twierdziła, że do utrzymania kobiet w dobrej formie ± posłuchu wystarczy to czynić znacznie rzadziej i nie jest konieczne używanie rzemieni nabijanych ostrymi szpikulcami, kaleczących skórę tak, że brzydkie strupy szpecą skórę, a pękając, brudzą krwią i ropą śliczne suknie; próbowała bronić przed razami córkę i nie zadowolala jej wymyślne uciechy królewskiego dworu, mimo że miała stałego małżonka, z czym zawsze kobiecie łatwiej i mimo iż ten z dobroci serca dał jej do dyspozycji kilka zwierzkobiet, aby dręcząc je wedle swojej woli rozpraszała swoje nieuniknione smutki, a co więcej, obiecała podarować prawdziwą kobietę, jeśli wykaże wobec niej swoje umiejętności. Niestety, córka króla nie tknęła ich nawet. Niechętni mówili, że jest prymitywna i brak jej kultury, woli bowiem dręczyć zwierzkobiety niż prawdziwego, żywego człowieka, ale były to jedynie złośliwe plotki rozsiewane przez niezadowolonego z niej męża, nic bowiem nie wskazywało na to, aby królowa była gorsza od swoich poddank.

Mimo to po bagnach i lasach zbierali się jej zwolennicy, a może ci, którzy za takich się uważali, zwłaszcza zaś zwolenniczki. Całe to tępione bractwo, leśne boginki, zwierzkobiety, bagnoluby, seperiny i zmyry ciągnęło w najdalsze ostępy opętane pragnieniem odmiany świata, który przecież zawsze zdążał i będzie zdążyć ku lepszemu, a więc próby powstania były tylko opóźnieniem tego, co miało nadejść i przynieść ludziom ulgę. Wiadomo przecież, że ludzie coraz lepiej przystosowują się do warunków, w których żyją, że kobiety z pokolenia na pokolenie stają się

odporniejsze, a więc i mniej będą w przyszłości cierpieć; już i teraz, aby połamać kości młodej dziewczynie, trzeba było chłopca z maczugą, bez niej nie dałby sobie rady. Na wszystko jednak trzeba czasu, a ci niecierpliwi, czasu tego nie chcieli tracić.

Moja zwierzkobieta należała właśnie do tych istot, które przygotowały i utrzymywały kryjówki na bagnach, gromadziły w nich żywność i czekały na sygnał, który miał nadejść nie wiadomo skąd i od kogo, poderwać wszystkich cierpiących do wysiłku, po którym już zawsze cierpienia i ból będą pojęciem z trudem nadającym się do wytłumaczenia dzieciom. Nie wiem, czy opiekunka moja rozumiała to wszystko tak, jak ja to opowiadam, czy zupełnie inaczej, w sposób nikomu z ludzi niedostępny, jednego jestem mimo to pewna – instynktownie wprost, podobnie jak moja matka, nienawidziła przemocy.

Mieszkałam z nią do czternastego roku życia. Odeszłam z mężczyzną, raczej chłopcem, choć gdyby ktoś wcześniej powiedział mi, że z własnej woli, nie pod groźbą bata czy więzów podążę za mężczyzną – nigdy bym mu nie uwierzyła. Nie na darmo byłam córką mojej matki i wychowanką zwierzkobiety. A zaczęło się wszystko zwyczajnie. Któregoś dnia do szałasów zwierzkobiety przybył młody chłopak, mój rówieśnik. Mężczyźni, jakich dotąd znałam lub raczej o jakich słyszałam, byli źli, brutalni; zajmowali się tylko swoimi zwierzętami i zadawaniem bólu, co nazwali podtrzymywaniem instynktu życia, twierdząc, że bez tego zabiegu wszystko, co żyje, gnuśniej i degeneruje się, jak roślina hodowana w misie na oknie, nie szarpana wiatrem i nie sieczona deszczem wiotczeje i blednie, aż łamie się pod swoim ciężarem. Ten chłopak był inny. Od razu, na pierwszy rzut oka widać było, że jest jakby taką rośliną, hodowaną w misie: szczupły, delikatnej budowy, wzrok miał spokojny i beznamiętny; potrafił długo patrzeć komuś w twarz nie odwracając oczu, nie dlatego, że był tak odważny, ale ponieważ nikt go nie nauczył, co to strach, ani nikt nie pokazał ile potworów szczerzących wstrętne zębiska może mieszkać w ludzkich oczach. W jego oczach nie było potworów, uśmiechał się często, roztaczając wokół siebie delikatny spokój, że pomyślałam wówczas, iż tak wygląda dobroć, o której mawiała matka, że na pewno istnieje, choć całe życie można przeżyć i jej nie spotkać.

Chłopiec miał zostać u zwierzkobiety jakiś czas potrzebny do wyuczenia się mowy gestów zwierzkobiet, ponieważ matka jego, odgrywająca w spisku jedną z głównych ról, przeznaczyła syna do poważnych zadań w przyszłym powstaniu, jako że niewielu było mężczyzn w ich spisku, z natury swojej byli więc predestynowani do rządzenia innymi i zajmowania stanowisk, które w przyszłości, kto wie, może doprowadzą ich do stóp tronu.

Zaprzyjaźniliśmy się natychmiast. Razem chodziliśmy jak cienie za naszą zwierzkobietą, razem uczyliśmy się jej umiejętności, a gdy nas odsyłała, bo miała już dość męczącego dostosowywania się do ludzkiej mowy – też nie rozstawaliśmy się. W zimne noce spaliśmy przytuleni do siebie, a ja ogrzewałam go, bo był taki szczupły i drobny, że marzył więcej niż ja, dziewczyna urodzona i wychowana na pomarańczowych bagnach. Kiedy było mu smutno, głaskałam go po plecach i biodrach, a on odpowiadał mi uczuciem i nigdy mnie nie uderzył, jak też nie uderzył zwierzkobiety ani swojej matki. Poznałam też jego matkę, wspaniałą kobietę i jej to zawdzięczam, że znalazłam swoją drogę życia i odkryłam swoje powołanie, jej słowa zapadły bowiem w pamięć, wbrew wszystkiemu, co przeszłam i czego doznałam. Mówiła mi o tych, co panują nad ludzkimi uczuciami i umieją tyle, że gdyby tylko udało się odwiedzić im każde nowo narodzone dziecko, przekazać mu te dary, którymi dysponuje – zbędna byłaby walka i przygotowywane przez nas powstanie. Nie wszyscy bowiem są zdolni wyobrazić sobie, jak ciężko jest walczyć o coś, gdy potępia się samą walkę, nie znosi się przemocy, brutalności i rywalizacji, ale wie się, że aby je zniszczyć, trzeba walczyć bronią przeciwnika, a broń ta jest podobna smoczemu ślinie: kto wie, jak będziemy wyglądać po walce, gdy opluci przez smoka odkryjemy, że nie wszystko da się zmyć. Dzięki niej zrozumiałam, że byłam z tymi, którzy walczą, ale szukałam własnej ścieżki, aby w nią skręcić, choć jeszcze nie w pełni to rozumiałam, bo nie ja, ale inni miotali mój życiem, i nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogą potępić mnie i jedni i drudzy. Matka mojego przyjaciela była wdową, żyła więc bezpiecznie i spokojnie do czasu, gdy w jej domostwie zjawili się królewscy strażnicy obyczajów. Wpłynął donos, że zamordowała swojego męża, aby zapewnić sobie zgubną swobodę życia. Wyprowadzono ją na łąkę za domem,

rozciągnięto na ziemi przywiązawszy do czterech wbitych kołków i zbudowano wokół mocne ogrodzenie, zza którego przez cztery dni dobiegały jęki i krzyki, dopóki nie wpuszczono stada zwierzokotów.

Mojemu przyjacielowi kazano objąć rządy w gospodarstwie, a wszyscy domownicy witali go, obnażając się na znak poddaństwa. Zamieszkałam z nim. Całymi dniami musiałam głaskać mojego przyjaciela po plecach i biodrach zanim zdolny był znów spokojnie zasnąć. Zostałam jego żoną i żyliśmy tak spokojnie i szczęśliwie, jak żyć można stąpając po brzegu pomarańczowego bagna z tobołem większym od siebie na plecach. Mogliśmy jednak mówić do siebie w nocy, choć słów naszych już nie pamiętam i nie wiem, czy były ważne; mogliśmy pod zaciśniętymi powiekami kryć niespokojne obrazy sfory pędzących zwierzokotów, tulić się do siebie aby obejrzane w chacie zwierzokobiety sny mojej nieprzytomnej matki, choć na chwilę odegnać od siebie. Ale i nad naszymi głowami gromadziły się chmury. Ludziom zdawało się rzeczą dziwną i niemoralną, że mąż obchodzi się ze mną łagodnie, choć aby uniknąć plotek, publicznie często mnie beształ i udawał, że mnie poszturchuje, a ja wrzeszczałam z zapalem; nie mógł jednak zmusić się do użycia prawdziwego bicia i ludzie to dostrzegli. Gdybym wtedy wiedziała, że tak byłoby dla nas o wiele lepiej, sprawiłabym, aby przełamał swoje uprzedzenie, bo zaiste więcej bólu i nieszczęścia doznałam z przyczyny jego łagodności, niż moja matka z brutalności.

Aby wyjaśnić ludziom swoje niezwykle postępowanie, mąż mój twierdził, że jestem ciężarna, nie było to jednak prawdą i ludziom zaczęło wydawać się to wszystko bardzo dziwnym. A jeżeli ludzie coś uważają za dziwne – szybko zjawiają się W tym miejscu królewscy strażnicy obyczajów. Miałam dużo szczęścia – mogli postąpić ze mną jak z matką mojego męża lub na tysiąc innych sposobów, przypadek jednak chciał, że trafił się wśród nich ktoś niezwykle, choć o wiele bardziej okrutny niż inni, dzięki czemu uniknęłam śmierci.

Jego sylwetkę ujrzałam znacznie wcześniej niż inni. Rozmyte nieco mgłą promienie zachodzącego słońca błyszcząły w czterech lusterkach jego hełmu. Mimo że było jeszcze zupełnie widno, przed nim biegło czterech pacholców z pochodniami migocącymi w mlecznej poświacie. Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. To marnotrawstwo pochodni budziło największy strach – jak potężni są ludzie, którzy mogą sobie pozwolić na marnotrawienie łuczywa, jak bardzo niezłomne muszą być ich decyzje, skoro taką im dają oprawę!

Niechący strącony ze stołka cebrzyk z wodą przewrócił się oblewając lodowatą wodą moje stopy i to dodało mi nieco odwagi, bowiem poczułam, że mam jeszcze ręce, nogi, swoje ciało, moja skóra czuje zimno, nie wszystko więc jeszcze stracone. Nogi mam szybkie, do bagien zaledwie dwa dni drogi, dam sobie radę!

Stałam jednak wrośnięta w ziemię, wbrew sobie nie drgnęłam. Nie byłam przecież sama. W miarę jak wychodził z gęstej, przedwieczornej mgły, kontury zbliżającego się człowieka wyostrzały się, za nim turkotał wózek z żelaznymi przyborami, nieodłącznym atrybutem jego władzy. Moje oczy przeskoczyły przestrzeń dzielącą mnie od wózka i zobaczyłam jak podskakują na nim żelazne cęgi, przeznaczone do ściskania ciała, potężne śruby z nakrętkami służące do skręcania maszyny, w którą wpleciony człowiek przestaje być człowiekiem, tygle do warzenia piekielnego płynu z krzewu porastającego wiśniowe bagna, którego użycie powoduje, że niewielki ból zda się urastać do skały tak ogromnej, że zgniatającej człowieka na drobinką, zawierającą jednak w sobie cierpienie całego świata.

Dlaczego więc stałam, choć moje nogi powinny biec, unosić mnie jak najszybciej stąd? Sama nie wiem. Nie może być przecież nic droższego ponad własne życie!

Tak właśnie wkroczyła moja pycha. To ona sprawiła, że nagle ja, nędzna córka Dwugębnej, zapragnęłam walki, że pomyślałam niebaczną jej przestroż, iż mając doświadczenie swojej matki potrafię obronić siebie i mojego męża przed wszystkim, co nam zagrażało, potrafię zniszczyć przeciwników, zmusić ich, aby ustąpili i wynieśli się gdzie indziej, milczący i zawstydzeni, że dali się pokonać kobiecie. Przez myśl przemknęły mi te wszystkie rzeczy, które dla wprawy czyniła moja matka, te wszystkie umiejętności, których nauczyła mnie sama lub pokazała pozwalając wnikać w swoje myśli, to wszystko, co odkryłam sama badając siebie i pomyślałam, że kto wie, może ja jedna jestem w całym świecie, która potrafi stawić czoła temu, co uważa za złe, stawić

czoła i zwyciężyć.

Wyprostowałam się więc, wyżełam rąbek spódnicy i ruszyłam na spotkanie mojego męża. Przypadł do mnie zdyszany, jakby bardzo długo biegł, choć wyszedł tylko z chaty, objął mnie mocnym uściskiem, a ramiona drżały mu pod cienką koszulą, póki jak kiedyś, nie położyłam się obok niego w naszej komnacie i nie zaczęłam gładzić jego pleców, aby obsechł na nich pot, a ciało stało się gładkie i aksamitne.

Leżeliśmy tak do chwili, kiedy pachołcy wpadli do komnaty, rozdzielili nas, zdarli odzież i związanych przyprowadzili przed oblicze strażnika obyczajów.

Siedział w naszej jadalni, na kamieniu ojców pod niskim, osmalonym sufitem i po raz pierwszy zauważyłam, jak bardzo ponury jest nasz dom i poczułam jak śmierdzi drewno, w które latami wsiąkał dym, ból i krzyki. Rzeźbione kolumny z miękkiego kamienia nosiły ślady zębów nieszczęsnych istot, spocone ich ciała polerowały chropawą niegdyś posadzkę i śladów tych nie zdołało zatrzeć tych kilka miesięcy, podczas których unoszący się dym niósł wyłącznie zapachy potraw.

Starałam się zebrać całe swoje siły, rozproszone zbędnymi rozmyślaniami i wniknąć w myśli strażnika, bardzo ostrożnie, aby nie zorientował się, ale choć udało mi się to bez większego trudu, to co znajdowało się tam, na nic nie było mi przydatne. Strażnik nie otoczył swoich myśli żadną barierą, ale były one tak pokrętne, że całe życie można by stracić na ich penetracji i niczym w labiryncie, nie dojść do celu.

Po raz wtóry zadrżałam i spojrzałam z bliska w jego twarz. Była bardzo piękna, spokojna i surowa urodą dojrzałego mężczyzny. Wąską kreskę ust i zdecydowanie zarysowane, z lekka zapadnięte policzki łagodziło świetliste spojrzenie, choć gdyby zapatrzeć się w nie dłużej, po chwili dziwnym zdawałoby się, że można było uznać za jasne coś, co było najgłębszym mrokiem, jakkolwiek daleko mu było do koloru zwanego czarnym. Ten człowiek wiedział, czego chciał. Czy nie byłam zbyt naiwna sądząc, że można z kimś takim wygrać pojedynek?

On jednak nie zwracał na mnie żadnej uwagi, jakby nie we mnie, a w moim miękkim, dobrym mężu znalazł godnego siebie przeciwnika.

– Jesteś synem Bili, potępionej wdowy? – I nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej:

– Delikatną masz budowę, cienkie kości i wydajesz się jeszcze bardzo młody...

W zadumie przeciągnął chudymi, kościstymi palcami po jego ciele jakby badając grubość skóry i siłę pulsującej pod nią krwi. Ujął potem moją ręką i nią dotykał tych miejsc na ciele mego męża, które przedtem muśnięciem badał sam. Moje palce drżały, ale nie swoim własnym drżeniem, było to drżenie skóry mojego męża.

Strażnik puścił moją dłoń jak kawałek suchego drewna – nieważne gdzie upadnie, skoro przestał być potrzebny – i zwrócił się znowu w jego stronę.

– Niewiele czasu mógł ci poświęcić ojciec, prawda? Twoja matka także zajmowała się wieloma rzeczami nie należącymi do niej i pozbawiona właściwego nadzoru nie umiała pokierować życiem syna. Wydaje mi się, że wina twoja nie jest zbyt wielka, musisz jednak w o wiele szybszym czasie nadrobić to wszystko, co straciłeś z braku właściwej opieki. Będzie to niewątpliwie trudne, jeśli masz jednak świadomość konieczności nauczania się wszystkiego, co niezbędne synowi i następcy dziedzica – ja dołożę wszelkich wysiłków i starań, aby ci pomóc.

– A ona? – spytał mój mąż.

Strażnik obyczajów milczał, a mąż mój nie zadał już po raz drugi pytania. Wezwani niedostrzegalnym znakiem weszli pachołcy, a ja pomyślałam, że skoro nie dostrzegłam jak ich wzywał, jest człowiekiem o wiele bardziej groźnym i niebezpiecznym, niż sądziłam. Ciągle jednak nie próbowałam nic zrobić aby podjąć walkę, choć strach, czy w tym zmaganiu, które mnie czeka mój mąż będzie moim sojusznikiem, pojawiający się nagle ni stąd ni zowąd, odepchnięty jako nierozsądny i śmieszny, powracał z całą siłą, gdy tylko choć odrobinę mu pofolgowałam, wstrzymywał chwilami mój oddech, sprowadzał chaos myśli, w których poczułam obecność kogoś obcego. Zniknął jednak błyskawicznie, tak szybko, że nie byłam pewna, czy w ogóle tam był i nie próbował już nigdy więcej dostać się do moich myśli, a zabolalo mnie to o wiele więcej, niż mogłam się spodziewać, że boleć będzie lekceważenie. Czyżby wybieranie sobie wroga oznaczało

panowanie nad światem; nie zwyciężanie go, nie walka, ale właśnie sam wybór?

– Popatrz na tę człekobietę – ciągnął strażnik – wszystkie twoje kłopoty biorą się stąd, że jesteś do niej o wiele bardziej przywiązany, niż powinienes. Ale to jest tylko słowo: „przywiązanie”. Co naprawdę ono oznacza? Skąd się bierze? Sam to wiesz, choć boisz się przyznać nawet przed sobą, pozwól więc, że ci podpowiem. Z niepewności, nieśmiałości, łagodności. Nie dane ci było poznać rycerza Toberina, tego najślynniejszego bohatera naszych czasów, a szkoda. Jak myślisz, czemu zawdzięcza swą sławę? Jego dewizą było zawsze: nie ma takiej rzeczy, której nie można osiągnąć, jeśli się bardzo chce. To pewność siebie i swojej siły uczyniła go silnym. Myślami nadaje kształt rzeczywistości i ona dostosowuje się do tego, co narzuci jej żądanie silnego człowieka. Myśli bohatera równe są jego uczynom, czyn to tylko wędrowka ręki, którą wprawiły w ruch wola i wysiłek mięśni. Tak więc twoja niepewność zagraadza ci drogę do tej człekobiety, czyni cię słabym wobec niej i wobec wszystkiego, co was otacza. Jakie będzie wasze dziecko? Czyżby miało zawsze być tak słabe i nieszczęśliwe jak jego ojciec? Czy wolno ci zaniedbywać dokonanie tego wszystkiego, co twojemu synowi w przyszłości może przynieść najwyższą radość, czyżbyś uważał może, że musi cierpieć? A grozi mu to nieuchronnie jeśli ty zostaniesz takim, jakim teraz jesteś.

Wiedziałam, że słowa te raniły mojego męża, ale nie potrafiłam odezwać się, pomóc mu słowem i myślą, wewnątrz jak nigdy dotąd bezbronna.

Strażnik ujął dłonią moją pierś, ale palce jego były o wiele bardziej szorstkie niż przedtem. Mimo że nadal mnie nie dostrzegał, wiedziałam, że tym razem pragnie okazać nie tylko jemu, lecz i mnie, przedsmak bólu i cierpienia.

– Popatrz, to jest tylko kawałek ciała, skóry, tłuszczu i nic więcej. Podobne mają zwierzkobiety, zwierzkoty, a nawet stworzenia o wiele bardziej wstrętne. Zobacz, nacisnę go, krew odpływa, skóra bieleje, pojawia się ból. Może być niewielki; człekobietka może pomylić go z przyjemnością, którą te stworzenia potrafią czasem doznawać, ale przecież od tego, kto trzyma tę skórę w dłoni, zależy dawkowanie tej przyjemności, zamiana jej w ból lub na odwrót, bólu w przyjemność. To na tym polega moc i władza, której nie zdążył przekazać ci twój ojciec. Spójrz teraz – ujął szczypcy wyciągnięte z żelaznego kosza i uchwycił skórę mojej piersi napinając ją zrazu lekko, aż do chwili, gdy nie byłam pewna: zaczyna się już ból, czy jeszcze go nie ma – gdy ty będziesz trzymał je w dłoni, tylko od ciebie zależeć będzie to wszystko, co dalej zrobisz, tak więc ty będziesz miał władzę nad człekobietą, a przez nią i nad tym, co cię otacza, bowiem najważniejsze jest opanowanie każdej rzeczy, której zapragniesz, bez żadnego wyjątku.

Przyciągnął jego dłoń i zamknął palce na szczypcach.

– Ściśnij teraz, odbuduj swoją władzę, to przyniesie ci pewność zwycięstwa na trudnej drodze, która cię czeka.

Szcęk upadających na podłogę cęgów zagłuszył piskliwy głos mojego męża:

– Nie zrobię tego nigdy! Nienawidzę waszych zwyczajów, waszej przemocy i waszej złości! Gdyby dać ludziom żyć spokojnie nie musieliby zdobywać władzy nad czymkolwiek!

Strażnik roześmiał się łagodnie, ale jego świetliste oczy stały się nagle kłujące i przenikliwe, a niski głos stwardniał tak, że pomyślałam trochę bez sensu, że jest on czarny niczym bryłka węgla.

– Będziesz musiał to zrobić, jeśli chcesz ocalić jej życie. Kiedy oddasz ją w moje ręce, nie wątpisz chyba, że mając nieporównywalnie większe doświadczenie od twojego potrafię tak postępować z człekobietami, aby zadać im o wiele groźniejszy ból niż tobie by się udało, ból po którym nie będzie już taka sama niż przedtem, tak więc dla ciebie powinno być oczywistym, że po skończeniu swojego zadania zabiję ją, ponieważ nie wiadomo do czego jeszcze potem mogłaby być przydatna. Ponieważ jednak pragnę zastąpić Ci ojca, a jej los jest mi całkiem obojętny, pozwalam ci samemu zająć się nią tak, jak to powinienes uczynić ze względu na swoje obowiązki wobec oddanych pod twoją opiekę i nadzór, w nagrodę zezwalając ci na ocalenie jej życia.

Mój mąż szarpał się w więzach jęcząc, jakby chciał wyrzucić z siebie słowa, którym nieopatrnie dał dostęp do swojego wnętrza, ale nie wiadomo skąd wiedziałam, że w głębi duszy już zdecydował się na to, co mu proponowano i tłumaczy sobie, że robi to dla mojego dobra, po to, aby ocalić moje życie i swoją miłość do mnie, choć jego ból będzie o wiele większy niż mój; ja

będę tylko cierpieć od tortur i ran, on zaś od ciężaru mojego bólu i swojego na widok moich mąk; tak więc uznał się za o wiele bardziej nieszczęśliwego ode mnie i to przekonanie przyniosło mu pewną ulgę, na tyle widoczną, że wyprostował się i przestał szarpać krępujące go więzy.

Skąd się we mnie wzięło to zbyt dojrzałe jak na mój wiek i doświadczenie przekonanie, że odgrywa przed samym sobą wydumaną rolę, ponieważ ciężar tego, co mu zaproponowano, przekroczył jego siły i ponieważ ten, co mu to zaproponował, znakomicie zdawał sobie sprawę, że załamię się pod nim właśnie tak, a nie inaczej? Gdy wybiegając myślą naprzód ściągnęłam ku sobie tę część rzeczywistości, która ma dopiero stać się, zadrżałam tego dnia po raz trzeci i zrozumiałam, jak naiwna byłam sądząc że jestem w stanie samotnie wydać walkę temu, co jest nierozdzieloną częścią wszystkich ludzkich istot. To ja jestem tym wyrzutkiem wśród nich, nieco inaczej skonstruowanym, odmieniec bez szans na stopienie się z resztą.

Strażnik nie dotknął już mnie więcej, odprowadzono nas do sypialni, ciśnięto związanych na łoża i zarzucono sianem. Płakaliśmy przytuleni do siebie nie mogąc się dotknąć, ale próbując ogrzać naszymi ciałami ziąb rosnący wewnątrz nas.

Nie wiedząc jak zgubne jest takie myślenie, zastanawiałam się wtedy, czy możliwym jest, żebym nie miała racji? W myśl nie wiadomo na ile sensownych przekonań, bardziej opartych na omylnym instynkcie niż na rzeczowych rozważaniach, odbieram temu, kogo kocham, szczęście i inne dobra, beze mnie i bez moich przekonań niechybnie do osiągnięcia. Ogarnęło mnie zwątpienie. Może mocą nieznanych przyczyn moje myślenie uległo spaczeniu tak dalece, że przestałam zdawać sobie sprawę z tego, co słuszne, a co nie?

Mieliśmy nadzieję, że dadzą nam spokój do rana, ale płonne to były oczekiwania, bowiem strażnik obudził nas w nocy, zda się z pierwszego, mocnego snu. Pachołcy rozwiązali mojego męża, przyniesiono narzędzia, a strażnik, nie zwracając uwagi na to, że mój mąż odwraca głowę ze wstrętem, tłumaczył mu, jak się ich używa, zaznajamiał z tajnikami działania i naparami wzmagającymi ich siłę. Trudno mi teraz wytłumaczyć moją bezwolność w tamtej chwili, ale myślę, że chciałam się przekonać, jakie cierpienie potrafię znieść, a może zagłuszyć przekonanie, że tak bardzo inaczej rozumiałam mojego męża od tego, co spostrzegam teraz ponadto zaś nie będąc już pewna zwycięstwa ponad wszystko pragnęłam żyć. Czepiałam się obietnicy strażnika, choć nie mnie została dana, gdy przyszło wybierać między niepewnym zwycięstwem, a prawie pewnym ocaleniem, nie miałam chwili wahania. Stopniowo jednak, kiedy z dnia na dzień tortury stawały się wymyślniejsze, a mąż mój coraz mniej się bronił przed tą nauką, kiedy przed oczami zamiast wszystkich rzeczy, które mogłam przywołać, widziałam tylko świetliste oczy strażnika, wybuchał we mnie bunt. Błagałam mojego męża, by skrócił moje cierpienia, tyle rzeczy miał pod ręką, które mogły zadać śmierć, ale on po prostu tego nie potrafił. Czasami, gdy byliśmy tylko we dwoje, płakał i obiecywał, że kiedy już to wszystko minie, że kiedy strażnik naukę uzna za skończoną, nigdy w życiu więcej nie sprawi mi bólu.

– Wierz mi, prędzej sobie osmałę nad ogniem palce, prędzej powyrywam je z dłoni, niż kiedykolwiek zadam ci cierpienie – obiecywał. Wiedziałam, że mogę mu wierzyć, choć przez to wcale nie byłam spokojniejsza. Nawet bezrozumny zwierzokot atakuje zawsze stąd, skąd nikt się go nie spodziewa.

I tak mój mąż nauczył się wszystkiego, co potrzebne jest mężczyźnie: używania kija, bata, ostrych haków i innych rzeczy przewrotnie nazywanych zdrobniałymi, pieszczotliwymi mianami, którymi posługiwali się ojcowie rodzin; jednak to, co zawsze w nim sprzeciwiało się używaniu siły, choć pogwałcone i stłumione, tliło się sprawiając ból. I ból ten mógł znaleźć tylko jedno ujście – trzeba było zniechęcić przyczynę jego istnienia. Strażnik obyczajów dawno odjechał wraz z pachołkami i swoim skrzypiącym wozem, mąż mój mógł już odłożyć bat, ale nienawiść do mnie, raz wywołana, nie zgasła. Potrafił godzinami wpatrywać się we mnie swoimi spokojnymi źrenicami, pozbawionymi cienia współczucia, na które zasługiwali jedynie ci, którzy przeżywali konflikt swego sumienia, ci zaś, którym coś dolegało, warci byli jedynie wzgardy z racji prostoty swoich doznań; tak więc ja, będąc jedną z nich, gdy płakałam i złorzeczyłam mu, godna byłam jedynie wzruszenia ramion.

Potem zmieniły się i rozrywki mojego męża. Gnany pragnieniem oddalenia się ode mnie, a

niewystarczająco silny, aby mnie wygnać, dobrał sobie drużynę młodych synów poddanych, z którymi całymi dniami przebywał, ćwicząc sprawność ciała i zręczność rąk. Wraz z kilkoma, najbardziej ulubionymi osiłkami wyprawiał się na polowania, przyprowadzał potem złowione czarownice do domostwa, czyniąc je obiektem swoich badań, zanim oddał towarzyszom. Ileż tych kobiet widziałam na podłodze naszej największej izby, wstrząsanych paroksyzmem strachu, gdy zbliżał się do nich nie odrywając wzroku, a potem, gdy odrzucając bicz, zaczynał głaskać je po ramionach i nogach, aż ślepe przerażenie zmieni się w niemą wdzięczność i oddanie. Powtarzał wtedy, nie wiedząc o tym, moje gesty sprzed lat. Jak straszny potrafi być ktoś, kto nauczy się pewnego sposobu zachowania i odkrywszy, co dzięki niemu może osiągnąć – stosuje go nie wiedząc o tym, co rzeczy te na świat sprowadza i jakie to smutne, że nie umniejsza to efektów! Nie używał wobec kobiet tych przemocy biorąc ich ciała, ale zawsze za nim stali członkowie jego drużyny gotowi spełnić to, na co on nie miał ochoty, interesował go bowiem tylko jeden sposób rozbrojenia ofiary. Tak więc gdy te nieszczęsne istoty odprężały się w przekonaniu, iż los, który je czeka, będzie łżejszy niż myślały, mój mąż odwracał się od nich ze zniechęceniem, resztę zostawiając swoim druhom. Nigdy nie natrafił na taką, która zachowałaby dlań nienawiść; niezależnie od tego, co robił zawsze miękły i łagodniały od pieśczoć i uspakajających słów; nawet we mnie, tak przecież doświadczonej, silniejsze były wspomnienia pierwszych nocy w szalasię zwierzokobiety, niż to, co przyszło potem.

Dlatego też nie mogłam w niczym pomóc tym dziewczynom, które swoją łatwowierność przypłacały życiem w podwójnych męczarniach bólu przerywanego od czasu do czasu łagodną pieśczoćą. Pewnej niespokojnej nocy, gdy nie dawały mi zasnąć obłędne krzyki kolejnej ofiary, zda się bardziej hardej i dlatego traktowanej z większą zawzięćością niż inne, spróbowałam wniknąć w jej myśli i z przerażeniem odgadłam, że z utęśknieniem czekała na te chwile pieśczoć przerywających męczarnie, że nie były one dla niej, jak powinny być, torturą, a jedynie łagodnym wytchnieniem, za które winno się wdzięczność, choć przecież doskonale wiedziała, że ten, kto wydawał polecenia i kto udzielał łaski pieśczoć – był jeden. – Skoro cierpisz – krzyczałam do niej w myśli – i giniesz za to, że jesteś czarownicą, bądź nią choć trochę, tylko to może los twój zmienić; podnieś się, odrzuć spod powiek obraz oczekiwanego, wniknij w myśli oprawców, narzuć im swoją wolę, a ja ci pomogę. Ścisnęłam dłonie w pięści i już byłam w środku tej dziewczyny, chciałam ją zmusić do ataku, do walki i oporu i cóż uzyskałam? Kiedy bezsilnie opuściłam zaciśnięte przedtem dłonie, kiedy uklęknęłam twarzą do okna, skąd płynęło światło nocnych słońc, rzucających podwójne cienie, co ułatwia rozdzielenie zrośniętych istot i spraw, na swoich szatach zobaczyłam krew. Przesiękała przez rzadko tkany materiał kroplami, a potem strumyczkami, ściekała na deski podłogi. Nie musiałam śięgać sukni, żeby wiedzieć, że ciało mam pokryte ranami.

Z trudem wstałam i powlokłam się na dziedziniec. Dziewczyna leżała tam koło studni, ciśnięta po ostatnich torturach; nogi przywalono jej wielkim kamiennym korytem, a dłonie zamknięto w łańcuchach podtrzymujących kołowrót. Kości musiała mieć połamane, ale ciało gładkie, bez sińców i ran. Wszystkie wzięłam od niej. A więc zespoliłam się z dziewczyną, choć nie taki to dało wynik, jak zamierzałam. Przejęłam jej ból, jej rany, wzięłam od niej tyle, ale żadnej rzeczy swojej nie zdołałam dać. Czy to tylko oblicze mojej niemocy, czy niemożliwość zrobienia więcej niż dozwala charakter jej istoty? Czy więc prawdziwa może być ta zaledwie przeczuwana potworność, że natura istot żywych dozwala jedynie łagodność nie służącą innym celom, niż zdobycie przewagi?

A może jednak dałam jej to, co tkwiło najgłębiej we mnie skoro na jej twarzy widniał łagodny uśmiec i zdawało się, że przez zamknięte, zaczerwienione powieki widzi jak przesuwają się po jej ciele delikatna dłoń mojego męża.

Odeszłam z tego domu, jak stałam, po cichu, nie biorąc zeń żadnej rzeczy. Na skraju pól, za domostwem, siedziałam może dzień, może dwa, nie wiem. To wówczas zrozumiałam, że nie nauczę się nigdy narzucać innym swej woli, przeciwnie, jedynym co będę umiała robić dobrze, to przyjmować cudzy ból i dlatego muszę nauczyć się coś z nim robić, ponieważ nie potrafię go potem wyrzucić z siebie lub przekazać innym. Jaki był sens istnienia takich człekobiet jak ja? Czym

kierowało się Podwójne Światło stwarzając prawo dwóch sposobów sprowadzania na świat cierpienia: poprzez zadawanie go innym i poprzez przejmowanie go od innych? Wokół kłębił się okrutny świat, ludzie i zwierzęta niszczyli się nawzajem, a gdzieś urodził się ktoś, kto wskutek wychowania niezgodnego z naturą zwiększa sumę nieszczęść, ponieważ doznając bólu nie odejmuje go innym. Jeżeli wierzyć w celowość wszystkiego, od której to wiary nie sposób naprawdę uwolnić się, cóż świata może przyjść z tego natłoku bólu i złorzeczeń? Zwolennicy księżniczki łudzili się, że jest to potrzebne, aby lud obudził się, zmazał z siebie przemoc, udowodnił, że ma tyle siły, ile potrzeba, aby zdążyć do tego, co uważa się za słuszne. Ale ja wiedziałam, że oszukiwali się tylko. Inni znów udowadniali, że cierpienie hartuje człowieka, przyzwyczajają do znoszenia przeciwności, dlaczego więc hartowali nie siebie, a innych? Jeszcze inni zaś twierdzili, że trzeba tak ogromnego napięcia uczuć, jakie odczuwa się doznając ból – aby wewnątrz człowieka dokonało jakościowego skoku, a on sam przebudził się jako istota nowa, wrażliwsza, lepsza i potężniejsza, doświadczająca uczuć z bólu wprawdzie wyrosłych, ale z bólem nie mających nic wspólnego.

Odrażę budziły takie myśli. Może lepiej więc rozważyć, jaki można osiągnąć świat, gdy dokonać w nim niezbędnych korekt, a może należało nie myśleć, tylko korekt tych dokonywać?

Nogi same niosły mnie na bagna. Wędrowałam całą noc, a gdy przybyłam tam, w to miejsce gdzie bulgotała pomarańczowa maź, położyłam się na płask pozwalając pełzać małym żuczkom po moim ciele i oblepiać je płatkami bewity. Potem wstałam i wróciłam do domostwa.

Na podwórku leżała już inna postać, tak samo oplątana łańcuchami i przywalona korytem, jednak po wydłużonym ciele pokrytym połamanymi teraz, a kiedyś delikatnymi i różowymi blaszkami, niby spód rozognionego grzyba, po szerokich, błoniastych stopach oklejonych bewitą, poznałam zwierzokobietę. Była to m o j a zwierzokobieta, moja i mojego męża przyjaciółka i może dlatego też jej oczy ogromniały bardziej niż to możliwe, gdy z rąk któregoś z nadchodzących dziedziców osiłków mego męża wyjęłam pałkę i roztrzaskałam nią jej śliską głowę, a wszystko co z niej zostało, rozniosłam miotłą po dziedzińcu, aby każdy kamień został napojony, każda drobina ziemi nasączona, aby dzięki temu uzyskać moc i wiarę w sens tego, co będąc czynić.

Nie zostałam prawdziwą wróżką. Chodząc od domu do domu zanim znajdę obejście, gdzie dorasta małe dziecko, wiodę życie żebraczki. Potem, gdy już trafię, gdy poznam dobrze otoczenie, gdy przekonam się, że dziecku temu można przekazać mój dar, zaczynam krążyć całymi dniami po okolicy w oczekiwaniu na okazję. Gdy napotkam istotę, którą bez ryzyka mogę uśmiercić, czynię to bezzwłocznie i wówczas dopiero wkraczam do domu, gdzie wśród kobiet chowa się drobina tak otwarta na to, co może jeszcze się stać, jak rzeczywistość kształtowana przez zamysł. Czasem jestem dobrą, czasem złą wróżką, jednak ta zasadnicza rzecz, którą daję maleństwom nie wiedząc, czy dobra jest, czy zła, jest jedyną, która może kiedyś nas wszystkich uratować. Sprawdzą to ci, którzy przyjdą wiele tysięcy po nas; jeżeli nie doczekają w przestrzeni największego fajerwerku świata, oznaczać to będzie, że nie popełniłam błędu.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Fantastyka w nowej formie

Oficyna wydawnicza

RW2010

Dobre ebooki
w dobrej cenie

www.rw2010.pl